

Krzyczkowski, Henryk

Andrzej Will

Przegląd Pruszkowski nr 2, 30-44

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ANDRZEJ WILL



Poznaliśmy się z Andrzejem dopiero jesienią 1925 roku, chociaż od kilku już lat mieszkaliśmy przy ulicy Stalowej. Poznaliśmy się na zbiórce 1 Pruszkowskiej Drużyny Harcerskiej. Byliśmy w plutonie *) dowodzonym przez Czesława Makowieckiego, Andrzej jako wyższy wzrostem w innym zastępie, a ja, - jako „średniak” w innym. Zbiórka odbywała się w naszej świetlicy, „harcówce” przy ulicy Kraszewskiego, na placyku przy wejściu do folwarku Hrabiego Potulickiego. Naszym drużynowym był wtedy niezapomniany „Kamyk” - Aleksander Kamiński.

Nasze „harcerskie lata” zakończyły się we wrześniu 1928 roku, gdy wstąpiliśmy do warszawskich gimnazjów, jednak kontakt z drużyną odnowiliśmy uczestnicząc w pięciodniowym pobycie harcerskim w Kudryńcach nad Zbruczem. Były to wakacje roku 1930. W kilka miesięcy później rozpoczynały się nasze „sokolskie lata”: wstąpiliśmy do pruszkowskiego Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Wtedy właśnie zaczynała się rodzić nasza wielka przyjaźń.

Kiedy nadeszły tragiczne lata hitlerowskiej okupacji, odczuwaliśmy własną słabość i bezsilność, szukaliśmy oparcia w większym gronie bratnich dusz. Podobne zainteresowania, jednakowa reakcja na rozgrywające się wokół nas wydarzenia - to wszystko spowodowało powstanie małej, zwartej grupy przyjaciół. Spotykaliśmy się przynajmniej raz w tygodniu, aby podzielić się wiadomościami, omówić rozgrywające się obok nas wydarzenia. Od 1943 roku staliśmy się zwartą grupą kompanów: Staszek Kowalczyk, Tadek Targowski, Witek Pakulski, Ali Morawski, Andrzej Will i ja. Spotykaliśmy się w pracowni Andrzeja, w mansardzie, na strychu domu przy ulicy Parkowej, tuż obok budynku, w którym urzędowała Sicherheitspolizei. Tu Andrzej zamieszkał po rozstaniu z Krystyną.

*) Według ówczesnej struktury 3 zastępy tworzyły pluton.

Pewnego jesiennego wieczoru, gdy omawialiśmy zasłyszane lub wymyślone fraszki i złodziejskie przysłowia, przeznaczone dla „Kalendarza Kieszonkowca na rok 1944”, ktoś z nas zwrócił uwagę na ciekawą okoliczność. Oto zebraliśmy się tutaj, w robotniczej dzielnicy Pruszkowa, a każdy z nas przybył z innego miejsca na kuli ziemskiej. Staszek urodził się w Tule, w mieście słynnym z najlepszych samowarów, Tadek przyszedł na świat gdzieś pod Moskwą, Witek ujrzał światło dzienne w Kopenhadze a mieszkał w Passaic pod Nowym Jorkiem, Ali pochodził z Detroit, miejscem urodzenia Andrzeja była Warszawa, a tylko ja jeden byłem rodowitym pruszkowiakiem.

Tego wieczoru Andrzej opowiadał nam o swojej rodzinie. Jego dziadek, ze strony ojca, był Szwajcarem. Przyjechał do Polski w połowie XIX wieku. Ożenił się z Polką i miał z nią dwóch synów. Ojciec matki Andrzeja był właścicielem majątku Żółwin pod Błoniem.

Rodzice Andrzeja poznali się w roku 1914, na pierwszym karnawałowym balu w Resursie Obywatelskiej w Warszawie. Matka, po ukończeniu „pensji”, była „panną na wydaniu”, a ojciec - wysoki, przystojny kawaler, był urzędnikiem - asesorem Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Podobno była to miłość „od pierwszego wejrzenia”. Ze ślubem nie czekali zbyt długo, gdyż Andrzej urodził się w listopadzie tego roku. Po ślubie rodzice zamieszkali w Żółwinie. „Miodowe miesiące” przerwał wybuch pierwszej wojny światowej. W październiku, rodzice w obawie przed nacierającą armią niemiecką przenieśli się do Warszawy. Zamieszkali przy ulicy Tarczyńskiej, gdzie w dniu 22 listopada urodził się Andrzej. Chrzest odbył się w kościele św. Jakuba przy ulicy Grójeckiej.

Gdy front ustabilizował się na rzece Rawce, rodzina mogła powrócić do Żółwina. Mieszkali tam aż do roku 1920. Na jesieni tego roku majątek Żółwin zlicytowano za długi zaciągane w latach wojny u lichwiarzy, którzy pożyczając ruble lub marki, przeliczali je od razu na szwajcarskie franki. Zrujnowanej rodziny nie było stać na kupno mieszkania w Warszawie, wybrano więc znacznie tańszy Pruszków. Na utrzymaniu ojca znalazła się liczna rodzina: żona, teściowa, oraz troje dzieci: Andrzej, młodszy syn - Janek oraz córka - Hania. Andrzej rozpoczął naukę w szkole im. Kościuszki.

W roku 1925 rozpoczęły się dla Andrzeja „lata harcerskie”: wstąpił do 1 Pruszkowskiej Drużyny. To wtedy zacząłem go odwiedzać. Siadaliśmy na ławeczce, pod oknami jego mieszkania. Oglądaliśmy duży album ze znaczkami. Ojciec Andrzeja był zapalonym filatelistą. Od wielu lat zbierał znaczki pocztowe, tę pasję zbieracką odziedziczył po nim Andrzej. Album był wypełniony kolorowymi znaczkami, podobno niektóre z nich były bardzo cenne.

Później Andrzej zaczął interesować się radiem. Na niewielkiej, cienkiej deseczce robił otwory, w które wstawiał małe „gniazdka”. Pod spodem

deseczki łączył je cienkim, izolowanym drucikiem, na deseczce ustawiał w gniazdkach jakąś cewkę, kondensator, opornik oraz „kryształek” z platynowym drucikiem. Podłączał uziemienie i prymitywną antenę, zakładał słuchawki, szukał drucikiem odpowiedniego miejsca na „kryształku” i ku naszemu zdziwieniu - w słuchawce słyszeliśmy albo muzykę, albo jakiejś pogadanki. Andrzej promieniował wtedy szczęściem. Naprawdę podziwialiśmy jego talent, a sąsiedzi zamawiali u niego małe, prymitywne odbiorniki radiowe.

W latach siedemdziesiątych Andrzej zaczął ogłaszać w pismach wrocławskich krótkie felietoniki o swoich znajomych i przyjaciółach. Do krótkiego tekstu dołączał karykaturę. Zainteresowało to wielu czytelników, a Redakcja poprosiła Andrzeja o wydrukowanie swoich wspomnień z międzywojennego dwudziestolecia. Któregoś wieczoru zadzwonił do mnie prosząc, abym spisał wspomnienia z naszych wspólnych „harcerskich lat”, pozostałe w mojej pamięci. Pamiętałem trzy fakty. Jesienią 1926 roku „Kamyk” zorganizował „wojnę na szyszki” w Lesie Helenowskim. Były z nami w lesie dwie lub trzy drużyny pruszkowskie. Trafiałem wtedy zieloną szyszką (wybrałem niedojrzałą bo cięższa, żeby dalej doleciała!) w policzek „Kamyka”. Po tej „bitwie” rozpalono na skraju lasu ognisko. Śpiewaliśmy wojskowe i harcerskie piosenki, a „Kamyk” opowiadał nam o swojej wędrowce przez ogarniętą rewolucją Rosję do Humania, a potem dalej do Polski.

Dobrze zapamiętałem także dzień składania harcerskiego przyrzeczenia. Na łąkach koło Elektrowni kilkunastu harcerzy stało w szeregu. Andrzej był najwyższy. Kolejno powtarzaliśmy za Oskarem Żawrockim słowa przyrzeczenia i całowaliśmy rąbek naszego sztandaru. Stojący za nami „Kamyk” kładł nam na ramieniu dłoń, gdy powtarzaliśmy słowa przysięgi. Był jak gdyby naszym harcerskim „ojcem chrzestnym”. Po tej uroczystości udaliśmy się na dworzec kolejowy, aby oczekiwać na jadący do Krajowa pociąg z prochami Juliusza Słowackiego. Na ostatnim wagonie - platformie stała trumna w otoczeniu warty honorowej. Rzucaliśmy kwiaty na ten wagon. Było to w czerwcu 1927 roku. Jesienią tego roku byliśmy uczestnikami Kursu dla Zastępowych. Kurs zakończył się na wiosnę. Andrzej objął zastęp „Lisków”, a ja „Jeleni”. Andrzej wspinał dowodził swoim zastępem, a ja nie zdałem egzaminu jako zastępowy. Nie mogłem opanować sztuki dowodzenia.

Dobrze pamiętałem nasz Obóz w Kudryńcach nad Zbruczem. Wieczorne ogniska, kąpiele w granicznej rzece, zwiedzanie ruin zamku, w których spędziliśmy jedną noc obserwując wraz z dwoma żołnierzami KOP srebrną smugę rzeki. Zapamiętałem także wycieczkę do Rumunii. Odwiedziliśmy wtedy Chocim i zwiedziliśmy ruiny dawnej polskiej twierdzy nad Dniestrem.

Mimo dobrych wspomnień, jakie wynosiliśmy z pobytu na tym obozie, rozstawaliśmy się już z harcerstwem na zawsze. Zmieniła nas Warszawa, a także nowe, gimnazjalne otoczenie.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych dorastała w naszej dzielnicy grupa młodzieży o podobnych zainteresowaniach i zamiłowaniach, ucząca się w warszawskich szkołach. Tylko jeden z nas - Stach Kowalczyk chodził do Zana.

Powoli, z miesiąca na miesiąc, tak się składało, że czas wolny od nauki i od spełniania domowych obowiązków, spędzaliśmy razem. Gdy było ciepło, spotykaliśmy się w parku „Sokoła”, graliśmy w koszykówkę lub w siatkówkę, a wieczorem wychodziliśmy na spacer po ulicach miasta. Gdy przyszedł czas wakacji, dużą grupą wyruszaliśmy na Helenowskie Glinianki, gdzie w zacisznym „dołku” rozkładaliśmy koce, opalaliśmy się, czytaliśmy książki, graliśmy w preferansa lub słuchaliśmy opowieści Witka o życiu w dalekiej Ameryce. A gdy o świcie wyruszaliśmy do Lasu Helenowskiego na grzyby lub na jagody, to ulica Stalowa napełniała się naszymi okrzykami i nawoływaniami pod oknami śpiących jeszcze kolegów.

W zimowe, niedzielne wieczory, wybieraliśmy się, zawsze razem, do warszawskiego Kinematografu Miejskiego przy ulicy Hipotecznej na jakiś wspaniały „western”. W tym czasie w domu nr. 23 przy ulicy Stalowej dobudowano piętro. Sprowadziła się tam rodzina Goldsztajnow. Mieszkania miały ubikację i wannę. Była to rodzina urzędnicza, ojciec był księgowym w jakiejś dużej firmie. Mieli dwóch synów. Starszy - Jurek szczupły blondynek był inteligentnym, nadzwyczaj grzecznym chłopcem. Szybko trafił do nas i został przez wszystkich zaakceptowany. Dla niespotykanych na ulicy Stalowej dobrych manier nazwano go „Hrabią”.

„Hrabia” jeździł razem z nami do Warszawy pociągiem 7.05. Pociąg ten składający się z kilkunastu wagonów, bardzo starych, podstawiano na pół godziny przed odjazdem. Były w jego składzie wagony dla młodzieży szkolnej, „Dla uczennic” i „Dla uczniów”. Pociąg stał na trzecim torze. Niezmiennie, punktualnie o godz. 7.05, dyżurny Ruchu wychodził ze służbowego pomieszczenia, podnosił czerwoną chorągiewkę i krzyczał w kierunku maszynisty: „Odjazd!”. Sapiący, stary parowóz otaczał się kłębamii dymu i pary i powoli ruszał w kierunku Warszawy, unosząc w wagonach dla nich przeznaczonych, ponad stu młodych ludzi, uczniów i uczennic.

Powracaliśmy do Pruszkowa pomiędzy godziną 14.00 a 15.00, wygrani lub pokonani, a zawsze zmęczeni i głodni.

Po obiedzie odrabialiśmy lekcje i wyruszaliśmy na spotkanie z przyjaciółmi. Najczęściej kierowaliśmy się do parku „Sokoła”. Dwa razy w tygodniu mieliśmy tu ćwiczenia gimnastyczne. Wisieliśmy na drabinkach



Andrzej Will i Witold Pakulski (r.1937)

strzostwo Pruszkowa. Przez długie lata nikt nie mógł odebrać mu tych tytułów.

Andrzej odnosił sukcesy nie tylko w sporcie. Kiedy w pruszkowskim „Sokole” powstał zespół teatralny, skupiający około dwudziestu osób, Andrzej spróbował swoich sił na scenie. Uwielbiał role komediowe. Natomiast Staszek Kowalczyk grał sentymentalnego amanta, a „Hrabia” - amanta tragicznego. Wystawili kilkanaście sztuk. Grali Fredrę i Bałuckiego. Dużym powodzeniem cieszyła się „Królowa Przedmieścia” - Krumłowskiego, wystawiana kilka razy, a komedia amerykańska „Dzień bez kłamstwa”, zainteresowała także prasę warszawską. „Kurier Warszawski” chwalił Staszka Kowalczyka oraz Andrzeja Willa.

Na początku lat trzydziestych zmarł ojciec Andrzeja. Dla rodziny rozpoczęły się naprawdę ciężkie czasy. Babcia, matka i trójka dorastających dzieci musiała żyć, utrzymać się z niewysokiej renty po ojcu. Na szczęście matka, wykorzystując dawne znajomości w sferach ziemiańskich,

umieszczonych przy ścianach, skakaliśmy przez konia lub przez „skrzynie”, próbowaliśmy ćwiczyć „na kółkach”, na „poręczach”, lub „na drążku”. Nikt z nikogo się nie śmiał, gdy nie udało się jakieś ćwiczenie. Niepowodzenia przyjmowaliśmy z humorem.

W pozostałe dni, gdy było ciepło i pogodnie, wolny czas spędzaliśmy na sokolskim boisku. Biegaliśmy, skakaliśmy, rzucaliśmy dyskiem, pchaliśmy kulą. Prawie każdego dnia rozgrywano mecze w koszykówkę lub w siatkówkę. W takie dni park „Sokoła” pełen był okrzyków, głośnych rozmów, nawoływań.

Andrzej, ze względu na swoje długie nogi, najchętniej uprawiał skoki: trójskok i skok wzwyż. Skakał coraz wyżej i coraz dalej, aż został mistrzem, najpierw „Sokoła” pruszkowskiego, a następnie zdobył mi-

uzyskała posadę kasjerki na torze wyścigowym. Była to, niestety, posada „sezonowa”, tylko na czas trwania sezonu wyścigowego.

W roku 1937 rozpoczął Andrzej studia w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Studiował malarstwo w klasie profesora Felicjana Kowarskiego. Początkowo żałował, że nie mógł studiować pod kierunkiem prof. Tadeusza Pruszkowskiego, jednak stopniowo nabierał coraz większego szacunku do swego profesora. Sytuacja finansowa Andrzeja zaczęła się poprawiać gdy profesor powierzał jemu różne prace zleczone. Wakacje spędził w Kazimierzu nad Wisłą, odnawiając wraz z prof. Michalakiem stare freski w kościele farnym. Następne wakacje spędził na pracy przy wystroju kościoła w Komarowie w województwie lubelskim. Zachowałem jeden z wierszy, które tam napisał. Otrzymałem wtedy od Andrzeja jego wierszyk - próbkę poetycką, którą zachowałem do dziś.

*Księżyc jak miednica lśni emalią białą,
Sklepienie malowane w gwiazdki, lecz niedbale,
Jakieś smugi, zacieki, źle jest nałożony kolor
I szablony gwiazdek niedokładne.
Z Opery Boskiej marsza grają żab orkiestry,
Gotykiem kolumn sterczy rząd chudych topoli,
I zapach dziwny, miły - maciejka i siano*

.....
Przepraszam! bo mi właśnie kolację podano...

Zpracowane pieniądze dzielił między rodzinę i kupno „wyposażenia malarskiego”, sztalug, blejtramów, płótna, farb, i pędzli.

Wojna zaskoczyła go w Komarowie. W pobliżu toczyły się walki. Późną jesienią powrócił do Pruszkowa. Dowiedział się, że „Hrabia” znalazł się w niemieckiej niewoli, skąd pisał rozpaczliwe listy. Na wiosnę wrócił do Komarowa kończyć rozpoczęte prace. Do Pruszkowa wrócił jesienią. Nasz dotychczasowy świat zawałił się w ciągu kilku miesięcy.

Po powrocie do domu Andrzej niespodziewanie podjął decyzję ryzykowną jak na tamte czasy. Poślubił Krystynę Trapszo-Kwinto. Poznali się przed wojną w „Sokole”. Krystyna była zgrabną, ładną dziewczyną, młodszą o kilka lat od Andrzeja. Pochodziła, tak jak i on, ze środowiska ziemiańskiego, zrujnowanego przez pierwszą wojnę światową. Andrzej pracował wtedy jako lakiernik w Warsztatach Kolejowych (Ostbahnausbesserungswerke). Ta praca dawała „Ausweis” - zabezpieczający przed „łapankami” oraz skromne „deputaty” i niewielkie wynagrodzenie.

Odradzałem im to małżeństwo. Nie usłuchali. Nie skorzystałem z zaproszeń do świadkowania na ślubie i do udziału w skromnym przyjęciu.

Jako prezent ślubny wręczyłem Andrzejowi butelkę dobrego francuskiego wina „Medoc”, którą kupiłem od niemieckiego żołnierza. Przyjechał na odpoczynek spędzając urlop w Generalnej Guberni po rozgromieniu Francji. W kilka miesięcy po ślubie udało się Andrzejowi zmienić pracę. Został „kreślarem” w Biurze Konstrukcyjnym Fabryki Stowarzyszenia Mechaników (Waverma). Zarabiał teraz 220 zł. Po ślubie Andrzej zamieszkał u żony, w parterowym domu, w pobliżu „żeberek” prawie na końcu ul. Stalowej.

Niestety! Sprawdziły się moje przewidywania. Małżeństwo nie trwało długo. Andrzej opuścił żonę, która spodziewała się dziecka. Zamieszkał jak wspomniałem na początku, w małym pokoiku na facjacie (a właściwie to na strychu) domu przy ul. Parkowej, tuż przy siedzibie Sicherheitspolizei. Andrzej odmalował swoje nowe mieszkanie. Ustawił sztalugi, rozwiązał kilka swoich prac, a na podłodze wymalował banknot stu złotowy. Wykonał tę pracę tak realistycznie, że każda osoba odwiedzająca po raz pierwszy Andrzeja, schłała się, aby podnieść z podłogi banknot.

Tu Andrzej rozpoczął nowe życie. Krystyna urodziła syna, któremu nadano imię Andrzej. Po wojnie Krystyna poślubiła inżyniera z Fabryki Mechaników. Zamieszkali w Krakowie. Syn, którego Andrzej odwiedzał, mieszka na warszawskim Targówku.

Pomieszczenie Andrzeja - jego pracownia malarska, „mansarda”, jak mówił - stał się miejscem naszych spotkań. Polubiliśmy to miejsce. W tym czasie Andrzej wstąpił w szeregi Armii Krajowej. W biurze pracy miał niewiele, w domu rysuje karty świąteczne. Na święta Bożego Narodzenia otrzymałem narysowaną przez niego kartę z widokiem jego pracowni i napisem: „A na Wilię, karpia Will je!”

Na jesieni 1942 roku, z inicjatywy naszego sąsiada Witolda Matuszewskiego, spotkaliśmy się: Andrzej, Staszek i ja w małej warszawskiej kawiarence przy ulicy Tamka z Grzegorzem Załęskim. Tak rozpoczęła się współpraca z podziemnymi wydawnictwami. Staszek pisał fraszki i różne wierszyki, podpisując je „Lapis” lub „Ewana”, a Andrzej podpisywał swoje rysunki „WAS”. Ponadto



GOTT MIT UNS (1940)

Rysunek Andrzeja Willa do prasy konspiracyjnej

Andrzej ilustrował przeznaczone dla Niemców wydawnictwa Biura Informacji i Propagandy AK - „N”, drukowane w języku niemieckim. Tych rysunków nie podpisywał.

W pracowni Andrzeja narodził się pomysł wydania wierszy Staszka. Staszek wybrał dziesięć wierszy, Andrzej opracował rysunki, wydrukowaniem zajęła się pani Helena Kobusowa, która wyświetlała rysunki techniczne w Biurze Konstrukcyjnym „Wavermy”. Wydrukowano, a właściwie to wyświetlono - 32 numerowane egzemplarze. „Nr 1” otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz, a „Nr 2” jest w moim posiadaniu. Mój udział w kosztach tego wydania wynosił 1.500 zł. Mój egzemplarz „Ostów na wietrze” zawiera dedykacje Staszka oraz Andrzeja. U Andrzeja powstawał także „Kalendarz Kieszonkowca na rok 1944”. Było nas sześciu autorów, najbliższych przyjaciół. Każdy z nas „dorzucał” jakąś fraszkę lub powiedzenie. Część rysunków wykonał Andrzej, pozostałe Tadek Targowski - „Klapka”, który jest autorem części przysłów i powiedzeń.

„Kalendarze” drukował „Klapka” - pracownik Biura Konstrukcyjnego w Warsztatach Kolejowych. Podobno rozproszdził ich ponad pięćset egzemplarzy.

Staszek Kowalczyk przez długie miesiące nie mógł się pogodzić z utratą żony i córeczki. Przygotowania do wydania tomiku jego wierszy, naleganie by pisał fraszki dla „Demokraty”, krótkie opowiadanka do tomiku jego prozy, który chcieliśmy wydać, wszystko to pozwalało mu chwilowo zapomnieć lub choćby złagodzić jego ból. Wciągnąłem jego oraz Andrzeja do moich spotkań z rodziną Pruszkowskich. Niestety! W kilka tygodni po naszej wspólnej wizycie u profesora Tadeusza Pruszkowskiego i jego przemiłej żony Zofii - Zuzi Katarzyńskiej - Pruszkowskiej aresztowano i rozstrzelano tego wspaniałego artystę. Podczas naszego ostatniego spotkania, profesor opowiadał o swoich wyczynach lotniczych. Był właścicielem awionetki; natomiast Zuzia Pruszkowska godzinami mogła opowiadać o Paryżu. Mieszkali państwo Pruszkowscy na ostatnim piętrze swojego domu, przy ulicy Noakowskiego. Nastrój, jaki panował podczas tych spotkań, opisał Staszek w jednym ze swoich wierszy.

W dniu 1 sierpnia 1944 r, po ogłoszeniu „Godziny W” w Pruszkowie, wyrusza Andrzej na miejsce zbiórki, na Ostoi. W nocy maszeruje do Lasu Sękocińskiego. Do Pruszkowa powraca 5 sierpnia. W kilka tygodni później bierzemy udział w pogrzebie Staszka Kowalczyka. W dzień pogrzebu w mieście trwała „łapanka”, wyciągano z domów młodych ludzi oraz warszawiaków. Na cmentarzu było niewiele osób. Rodzina, Andrzej, Witek i ja. Wracając do domu wspominaliśmy, że stało się to, co przepowiedziała Staszce stary kobieta, pracownica Ośrodka Zdrowia w Piastowie. Pracował tam Witek, „niedokończony” lekarz. W Ośrodku prac-



U nas uczeni też pracują.

Rysunek Andrzeja Willa do prasy konspiracyjnej

wała jako sprzączka stara kobieta, dawna właścicielka majątku ziemskiego na Wołyniu, której udało się uciec do Generalnej Guberni z transportu do Kazachstanu. Ta kobieta miała dar przewidywania śmierci pacjentów Ośrodka. Mówiła do Witka:

- Panie doktorze! Tego nie warto leczyć! On niedługo umrze.

I zawsze tak było. Ta kobieta wróżyła z kart. Witek zaprosił ją do siebie, aby postawiła karty rodzicom. Przy okazji przyprowadził ją do „mansardy” Andrzeja, gdzie Sta-

szek, Tadek i ja ogrywaliśmy gospodarza w karty. Stara kobieta miała swoją talię kart. Tadekowi przepowiedziała jakąś nieszczęśliwą miłość, mnie - szybkie małżeństwo (co okazało się prawdą), a gdy Staszek „przełożył” jej rozkładane karty, już po odkryciu kilku pierwszych kart, zgarnęła wszystkie, mówiąc, że nie będzie jemu wróżyła. Andrzejowi powiedział, że nie ma co liczyć na powrót żony. Następnego dnia w piastowskim Ośrodku Zdrowia Witek dowiedział się jaki los spotka Staszka.

- Karty mówią, że ten przyjaciel pana doktora niedługo zginie. To będzie nagła śmierć.

Witek uwierzył tej kobiecie, gdyż w wielu wypadkach sprawdzały się jej przepowiednie.

Wkrótce, w dniu 14 września 1944 roku, niespodziewanie, zakończył się „pruszkowski etap życia Andrzeja”.

Podczas wielkiej „łapanki”, obejmującej całe miasto, wyciągnięto Andrzeja z jego „mansardy”. Ucieszył się żandarm oglądający „Ausweis” Andrzeja:

- Gut! Sie müssen nach Breslau fahren!

W tym czasie już zakończyła się ewakuacja Zakładów „Waverma” - Fabryki Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki - do Wrocławia. Wywieziono maszyny, urządzenia pomocnicze, narzędzia, wywieziono także kilkuset pracowników Fabryki. Do kapitulacji Wrocławia, w maju

1945 r. Andrzej obsługiwał tokarnię, która została przywieziona z Pruszkowa. Świadczyła o tym tabliczka z napisem: „Fabryka Stowarzyszenia Mechaników”. Obok, na podobnych maszynach pracowali znajomi: January Wachulski. Apolinary Malinowski i Władysław Dudek.

To były trudne do przeżycia miesiące. Andrzej poznał wtedy pochodzącą z Komorowa Helenę Bandrowską, córkę pisarza Jerzego Bandrowskiego. Schwytała w komorowskiej łapance, pracowała w fabrycznym magazynie. Została żoną Andrzeja. Wydawało mi się, że to małżeństwo będzie trwało długo. Jednak stało się inaczej. Rozeszli się po dwóch lub trzech latach pożycia.

Andrzej kończył swoje studia na nowo otwartej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Po ukończeniu studiów został pracownikiem naukowym tej Uczelni. Najpierw asystentem, a później wykładowcą. Wyższe Szkoły wrocławskie powstały w oparciu o kadry profesorów wyższych uczelni lwowskich. Lwowiacy okazali się wspaniałymi organizatorami życia kulturalnego i naukowego Wrocławia.

Andrzej rozpoczął we Wrocławiu nową i najciekawszą część swego życia. Miał wokół siebie ludzi ciekawych i mądrych. Skończyły się też kłopoty finansowe. Andrzej miał kilka posesji, zaczął sprzedawać swoje prace, stawał się jednym z organizatorów życia kulturalnego Wrocławia. Zakończyły się już nasze bliskie kontakty. Spotykaliśmy się kilka razy w roku, gdy przyjeżdżał do Warszawy na posiedzenie Zarządu Związku Artystów Plastyków. Najczęściej wówczas nocował u mnie.

Przed udaniem się na spoczynek przeglądaliśmy stare fotografie, snuliśmy wspomnienia, przypominaliśmy sobie dawno zmarłych przyjaciół.

Nieprzerwanie trwała nasza korespondencja. Andrzej przysyłał mi zaproszenia na swoje wystawy. Zawiadomił mnie o rozstaniu z Heleną i o ślubie z Ireną Lenartowicz, swoją dawną uczennicą, siostrą znanego reżysera filmowego.

Andrzej zorganizował we Wrocławiu „Międzynarodowe Triennale Rysunku”. Ta instytucja przetrwała pod jego kierownictwem przez trzydzieści lat. Otrzymywałem pięknie wydane katalogi z tych wystaw. Irenę poznałem w roku 1963, kiedy przebywałem we Wrocławiu. Spędziliśmy wówczas razem z Andrzejem wiele godzin na spacerach po mieście. Andrzej opowiadał mi o zabezpieczeniu wielkiego zbioru różnych dokumentów, przywiezionych w czasie wojny z Berlina do Wrocławia. Te zbiory ukryto i zabezpieczono przed żołnierzami sowieckimi, którzy wywozili z Wrocławia do Związku Radzieckiego, wszystko to, co dało się wywieźć. To ukryte „Archiwum Berlińskie” przekazano następnie do Krakowa i zabezpieczono w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Andrzej opowia-

dał mi z jak wielkim wzruszeniem dotykał rękopisów Bethowena. To archiwum przedstawiało ogromną wartość, nie tylko dla Niemców, ale dla całej ludzkości. Tamte tragiczne przeżycie najmocniej wryły się w pamięć Andrzeja.

Gdy pod koniec drugiej wojny światowej wojska sowieckie zbliżały się do rzeki Odry, okazało się, że zarówno Wehrmacht, jak i władze partyjne NSDAP, nadal wierzyły w istnienie jakiejś „cudownej broni” - „Wunderwaffen”, która ma przynieść zwycięstwo i dla tego zdecydowano się na obronę Wrocławia, zmieniając miasto w „Festung Breslau” - „Twierdzę Wrocław”. Nie było żadnych fortyfikacji, tylko betonowe bunkry i okopy, wykonywane w pośpiechu przez cudzoziemskich robotników. Wrocław bronił się do połowy maja 1945 r. Skapitulował w tydzień po zawieszeniu broni i po podpisaniu rozejmu 8-9 maja. Miasto było bardzo zniszczone przez długie ostrzeliwania artyleryjskie i naloty lotnicze. Pokonani żołnierze w zwartych kolumnach opuszczali zniszczone miasto, aby po dokładnej selekcji odjechać na wschód, za Ural. W częściowo zrujnowanym mieście pozostało kilkaset tysięcy mieszkańców oraz wielotysięczna masa jeńców wojennych i cudzoziemskich robotników, zwożonych tu z całej Europy, którzy przez kilka pierwszych dni wolności nie opuszczali swoich kwater, bojąc się spotkania z pijanymi rabusiami - żołnierzami sowieckimi.

Po kilku dniach takiego chaosu wkroczyła do miasta żandarmeria wojskowa, milicja i regularne oddziały Armii Czerwonej. Zakończyło się rabowanie i podpalanie domów. Ogłoszono „godzinę policyjną”. Sytuacja w mieście stabilizowała się. Robotnicy cudzoziemscy opuszczali miasto, rabując przy okazji wystraszonych niemieckich mieszkańców. Gdy władze sowieckie przystąpiły do wywożenia ponemieckiego mienia, w mieście pozostali tylko ci Polacy, którzy zamierzali zamieszkać na stałe we Wrocławiu. Przeważnie byli to ludzie z dawnych Kresów Wschodnich oraz Warszawiacy.

Choć miastem rządził sowiecki komendant wraz z żandarmerią, tworzyły się już załóżki polskiej władzy. Został mianowany prezydent miasta, a na ulicach pojawili się milicjanci bez mundurów z karabinami i z opaskami „MO”.

Władza sowiecka traktowała wszystko, co można było wywieźć, jako „zdobycz wojenną” - „trofeijną”. Najpierw wywożono urządzenia fabryczne, maszyny, narzędzia pomocnicze, surowce. W halach fabrycznych pozostały gołe ściany, gdyż zabierano także instalację elektryczną. Odjeżdżały na wschód długie pociągi towarowe, z wagonami załadowanymi wojennym łupem. Wywożono wyposażenie szpitali, biur, uczelni, a później meble i fortepiany z prywatnych mieszkań.

W kilka tygodni po kapitulacji, gdy już urzędował mianowany przez polskie władze prezydent miasta, Andrzej otrzymał polecenie zabezpie-

czenia Muzeum. Pośród osób zamierzających osiedlić się we Wrocławiu, znalazło się kilka osób zainteresowanych tą akcją. Osoby te dostały dwujęzyczne zaświadczenia, że są pracownikami Muzeum. W tym czasie żołnierze sowieccy ładowali na samochody muzealne eksponaty: obrazy, dzieła sztuki, ozdobne przedmioty. Wiele obrazów przechowywano w piwnicach. Gdy żołnierze sowieccy wynosili do samochodów eksponaty muzealne, grupa Polaków odkryła piwnice oraz schron załadowane skrzyniami w których ukryto, wzorowo zabezpieczone, przewinięte bibułą, złożone w klaserach, w teczkach i w kartonowych pudełkach, prawdziwe skarby niemieckiej kultury. Rękopisy najwybitniejszych dzieł literackich, nuty zapisane rękami największych niemieckich kompozytorów.

Po wielu latach Andrzej opowiadał mi z wielkim przejęciem o swoich odczuciach, gdy dotykał i trzymał w ręku rękopisy: J.W. Goethego „Die Leiden des Jungen Werther" (Cierpienia młodego Werthera) z poprawkami przez niego nanoszonymi. Były też rękopisy Heinricha Heinego oraz Friedricha Schillera. W innej skrzyni odnalazł pudło z napisem: Ludwig van Beethoven, a w nim partytury pisane ręką kompozytora. W dużym pudle było kilka mniejszych pudełek. Na jednym był napis: „6 Symphonie (Pastorale) Opus 68".

Inne pudła zawierały partytury pisane ręką J.S. Bacha, Josepha Haydna, Georga Friedricha Handela.

Skrzynie te ukrywano starannie, zachowując w tajemnicy ich zawartość. Po wielu tygodniach skrzynie przetransportowano do budynku Uniwersytetu, gdzie już urzędowali Polacy, przygotowujący się do rozpoczęcia nauki w nowym roku akademickim. Skrzynie przechowywano w bibliotece uniwersyteckiej. O zawartości skrzyń wiedzieli tylko nieliczni, wtajemniczeni pracownicy.

Przestrzegano tajemnicy, gdyż zawartość skrzyń mogła stać się łakomym kąskiem dla wielu. Gdyby przedstawiciele Armii Radzieckiej dowiedzieli się o istnieniu „Archiwum Berlińskiego", na pewno przystąpionoby natychmiast do „likwidacji przeoczenia" ekipy wywożącej do Moskwy zbiory wrocławskiego Muzeum, a skrzynie ze zbiorami powędrowałyby, pod specjalnym nadzorem, do Moskwy lub Leningradu. Równie groźna mogła się okazać działalność „szabrowników" przybywających do Wrocławia z całej Polski, poszukujących łatwego zarobku. Dodatkowo obawiano się przedstawicieli polskiej władz, przysłanych z Łodzi lub z Warszawy, gdyż wśród tych ludzi mogli się znaleźć chętni do zawiadomienia NKWD lub innych przedstawicieli władz radzieckich o nadzwyczajnej wartości dokumentów znajdujących się w ukrywanych przez Polaków skrzyniach.

Dopiero po wielu miesiącach przewieziono skrzynie do Krakowa, do Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jednak nadal nie rozgłaszano



Henryk Krzyczkowski i Andrzej Will. Dębek 1972 r.

wiadomości o zawartości skrzyń. Zbiory poddawano właściwej konserwacji tak, że gdy w początku lat dziewięćdziesiątych rozpisywano się o tych zbiorach, konserwatorzy niemieccy z uznaniem wyrażali się o pracach polskich konserwatorów. Obecnie toczą się rozmowy o warunkach na jakich Polska ma przekazać te zbiory narodowi niemieckiemu.

Andrzej uważał swój udział w tej Akcji za osobisty życiowy sukces.

Podczas naszych długich rozmów, w roku 1963, stwierdziłem, że Andrzej zaniedbuje malarstwo, dla pracy społecznej. Był organizatorem i kierownikiem „Międzynarodowego Triennale Rysunku”. Prace na ten konkurs napływały z całego świata. Co trzy lata odbywała się wystawa tych rysunków. Wręczano cenne nagrody i wyróżnienia. Imprezy te trwały przez trzydzieści lat. Przez te lata utrzymywał się z rysowania „główek”, które odbijał litograficznie w dziesięciu egzemplarzach. Odbiorcami tych prac byli Skandynawowie. Zaprzyjaźniony „marchand” ze Sztokholmu sprzedawał te „główki” nie tylko w Szwecji, ale także w Danii, Norwegii oraz w Finlandii.

W roku 1972 zaprosił mnie Andrzej do Dębka, na wakacyjny odpoczynek. Od kilku lat Andrzej spędzał tam urlopy. Ta nadmorska wioska leży pomiędzy Żarnowcem a wybrzeżem. W dwudziestoleciu granica państwa polskiego przebiegała wzdłuż rzeczki Piaśnica. Od stuleci, pięć kilometrów wybrzeża, na wschód od Piaśnicy, należało do baronów czy hrabiów von Krakow, właścicieli pobliskiego Krokowa. Już za czasów pruskich, całe wybrzeże Bałtyku należało do państwa, a tylko te pięć kilometrów wybrzeża, wraz z przylegającym lasem, było własnością prywatną. Gdy w latach trzydziestych rodzina von Krokow przenosiła się do Rzeszy, ten pięciokilometrowy odcinek wybrzeża kupiło dziesięciu profesorów uniwersytetu poznańskiego. W przedwojennej Polsce tylko te 5 km. wybrzeża było



Irena Lenartowicz - Will i Andrzej Will. Dębek nad Bałtykiem. Lato 1972 r.

własnością prywatną czego PRL nie kwestionowało. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy jeden z obecnych właścicieli nadmorskiej działki, syn przedwojennego profesora Uniwersytetu Poznańskiego, wystąpił o wydanie zezwolenia na budowę willi władza ludowa zaczęła się interesować prywatną plażą nadmorską. Ustalono nazwiska obecnych właścicieli i zaproponowano im odsprzedaż na bardzo dobrych warunkach. Okazało się, że te pięćsetmetrowe działki, wraz z przyległym lasem, chcą kupić dygnitarze partyjni z Warszawy wraz z sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego - Stanisławem Kociołkiem. Właściciele odmówili. Wtedy zaproponowano im odsprzedaż połowy każdej działki obiecując, że na pozostałej połowie właściciele będą mogli pobudować wille. Właściciele działek nie zgodzili się i na tę propozycję. Byli przekonani, że prominenci wybudują wille, na co oni nie dostaną zezwolenia bo przecież „partyjni bonzowie” nie będą chcieli mieć za sąsiadów nie wiadomo kogo. Gdy po kilku latach pertraktacji nie udało się prominentom doprowadzić sprawy do końca, towarzysz Kociołek zawiadomił jednego z właścicieli, że nie będzie miał pożytku z tej plaży i lasu, gdyż zapadła w Warszawie decyzja budowy w pobliskim Żarnowcu elektrowni atomowej.

Gdy zawiadomiłem Andrzeja, że spędzę z nim kilka tygodni w Dębku, musiał załatwić notarialną zgodę właściciela działki na mój pobyt na tym terenie. Właścicielem był prof. Wrzosek z Uniwersytetu Wrocławskiego, zaprzyjaźniony z Andrzejem. W drugiej połowie lipca 1972 roku, wybrałem się do Dębka wraz z moim synem Jankiem. Naszymi sąsiadami byli Andrzej z Ireną, brat Ireny - znany reżyser filmowy Stanisław Lenartowicz z żoną i dorastającą córką oraz profesor Czesław Wernas, autor nie dawno wydanej książki „Barok”, który w dużym namiocie zamieszkał z żoną i dwoma kilkunastoletnimi córkami. Któregoś wieczoru, przy ognisku, namówiłem profesora, aby jakimś swojemu zdolnemu studentowi zaproponował jako temat pracy magisterskiej „Życie i śmierć Staszka Kowalczyka”. Profesor pamiętał o danej mi obietnicy i po kilku latach zgłosił się do mnie kończący polonistykę student Stanisław Bereś, aby porozmawiać o Staszku Kowalczyku.

W Dębku spędziliśmy z Jankiem blisko trzy tygodnie. To były piękne wakacje. W bezdeszczowe wieczory paliliśmy nad morzem ognisko. Bardzo często wspominaliśmy wtedy nasze wspólne pruszkowskie lata.

W latach osiemdziesiątych, przynajmniej dwa razy każdego roku, nocował Andrzej u nas. Przyjeżdżał do Warszawy na posiedzenia Związku Artystów Plastyków. Za każdym razem zjadał się blinami, smażonymi przez moją żonę Eufrozyne.

W dniu 17 lutego 1984 roku odbyła się we Wrocławiu, w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy, wystawa prac malarskich Ireny Lenartowicz-Will - żony Andrzeja.

A w dniu 25 kwietnia 1985 roku, w warszawskim lokalu: „Galeria TPSP Pałacyk przy ul.Chmielnej nr 5” odbyło się otwarcie wystawy Prac Andrzeja Willa.

Gdy przesłałem mu moją książkę „Dzielnica Milionerów”, telefonował do mnie, następnego dnia po otrzymaniu przesyłki:

- Dzwonię tak rano, aby ci podziękować za książkę. Czytałem ją dwa razy, przez całą noc. Teraz czyta Irena...

Ostatni list od niego otrzymałem w grudniu 1991 roku. Napisał, że pracuje nad zorganizowaniem już 31 Międzynarodowego Triennale Rysunku. Napisał też: „Dzielnica” jest wspaniała! Nic w niej nie zmieniaj!” Zmarł 14 stycznia 1992 roku. Odszedł wówczas przedostatni z moich przyjaciół. Wtedy żył jeszcze Mietek Kruszewski w dalekiej Argentynie.

Przed kilku laty otrzymaliśmy ostatni już list od Ireny, żony Andrzeja, podawała nam nowy adres. Sprzedała dawne mieszkanie i pracownię Andrzeja na poddaszu domu przy Rynku, z widokiem na kościół św. Elżbiety. Napisała, że ciężko jest żyć tylko wspomnieniami. Nie wiem dlaczego nie odpisałem na ten list.